

— Mówiłaś Romciu, że będzie rosół dzisiaj, — rzekł mąż, zasiadając do postnej grochówki.

— Nie było mięsa świeżego... Ci rzeźnicy sprzedają co chcą... i bardzo dobra grochówka.

— A jest do tego boczek, a może schabik, — połknął ślinę smakoszowską.

— Zaraz się dowiem, — wstała z krzesła.

— Zostań... ona już idzie, — i do służącej: — niech Marcinowa poda wieprzowinę z grochówki:

— Jaką? — zachmurzyła się, — dziś przecież post.

Romcia, obawiając się, ażeby Marcinowa nie wygadała się, że pani obiadu nie dysponowała, powiedziała słodko:

— Tak, Jasiu, zapomniałam ci powiedzieć, że dziś zarządziłam postny obiad.

— Postny? — skrzywił się, — teraz trudno o świeżą rybę. Cóż dasz? sandacza, czy karpia?

— Ryb nie można się dokupić. Będzie makaron ze serem zapiekany i naleśniki z powidłem, — rzekła Marcinowa i wyszła z pokoju.

— Co? — zawołał podrażniony, był bowiem bez śniadania drugiego, więc głodny, — i to ma być obiad?

Krzywił się, że chodzę po knajpach, coż mam robić, gdy w domu dajesz mi makaron głupi i naleśniki, a dobrze wiesz, że tego niecierpię.

— Bardzo cię przepraszam, Jasiu.

— Co mi z twoich przeprosin? — wstał i zawołał gniewnie: — Marcinowol... Idźcie zaraz do masarza na rogu ulicy, przyniesiecie pół funta kielbasy, butelkę okocimskiego, i zrobicie mi jajecznicę z kielbasą... i niech te posty dyabli wezmą!

— Obraża boska! — obruszyła się Marcinowa. — Cały świat pości, tylko u nas...

— Ruszaj po kielbasę! Zaraz! — krzyknął groźnie.

— Idę... idę... Nie będzie to mój grzech.

Mąż sapał z gniewu i oburzenia. Potrafił krzesło i zapaliwszy cygaro, rozciągnął się na sofie.

Cichym krokiem zbliżyła się do niego, pocałowała w czoło.

— Nie gniewaj się Jasiu, — powiedziała miękko.

— Jaki nie gniewać się? Ja pracuję cały boży dzień, haruję jak wół, a głodem mnie karmisz. Od-mawiam sobie wszystkiego, ażeby na dom nastarczyć, a ty mi dajesz makaron i naleśniki, — przedrzeźniał jej głos.

— Zapomniałam...

— A o czymże masz pamiętać? — złościł się. — Ty tylko o twych kieckach pamiętasz, o głupim kapeluszu, a męża masz za nic, niech pracuje i zdycha z głodu.

Romcia uczuła się obrażoną, zwłaszcza, że on skąpi na jej stroje, wyprostowała się, zarumieniała z gniewu, chciała mu powiedzieć słowa prawdy, ale uznała, że lepiej zmilczeć i nie wywoływać burzy.

— To za moją miłość, za troskliwość, — powiedziała płaczliwym głosem i zasłoniła oczy chusteczką, — taka nagroda! — poszła chwiejnym krokiem do sypialni.

W leżącej pozycji, paląc cygaro, a zwłaszcza, że go posłyszał wracającą Marcinową, zobaczył butelkę piwa i miał nadzieję dostania jajecznicy z kielbasą, gniew jego począł ostygnać. Wspomnił, że dziś ludzie jednak poszczą, i że on sam zalecał żonie religijność, bo zawsze ona chroni do pewnego stopnia od złych myśli i zachcianek, i poczuł pewien żal, że skrzyżował żonę.

— Romciu!... Nie becz! Przyjdź! Zjemy razem jajecznicę, bo samemu nie bardzo mi smakuje. No, Romciu!

— A nie będziesz się złościł?

— Nie! Nie!

— I nie będziesz mi wypominał moich sukni?

Weszła z miną zbolaną i zaczęła przejmującym głosem:

— Tyś taki niesprawiedliwy, Jasiu. Przyznaj sam, czy ja wymagam pieniędzy dla siebie? Jeśli idzie mi o ubranie, to tylko ze względu na ciebie, ażeby ludzie widzieli, że dobrze się tobie powodzi, że zarabiasz.

— To tak sobie gadasz...

— Nie! Zawsze mówię, co myślę. Powiedz, czy byłoby ci przyjemnie, gdybym chodziła w starych, znoszonych sukniach, w kapeluszu niemodnym...

— Ja i tak kochałbym cię, — zaśmiał się.

— Nie idzie o to, ale gdyby mnie palcami pokazywano, czy byłoby ci miło?

— Hm... nie!

— A widzisz! I czy ja się upominam o stroje? Tyle razy obiecywałeś pójść ze mną do sklepów, kupić to i owo, czy zrobiłam ci chociaż raz wymówkę?

— Ja miałem iść do sklepów? Z tobą? Pamiętam, że obiecałem wyjść razem, ale nic więcej.

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

— A pocóż mamy wyjść? Czy mało jesteśmy ze sobą w domu? I kiedy pójdziemy?

ale i jutro do obiadu. Mąż spieszyłby po sumie napewno do domu, nie chciałby spacerować po rynku, i zaledwie miałaby czas przywitać się z Natalcją. A kto wie, czy nie zauważyłby, że ma nowy kapelusz, zaczęłyby się pytania nudne, a skąd, a jak, co zepsułoby całą przyjemność niedzielna.

— Szkoda, Jasiu, że tak bardzo jesteś zajęty, — westchnęła, — inni mężowie zawsze znajdują czas i dla żony.

— No, wiesz, jako budowniczy, — tak tytułował siebie chętnie w chwilach poważniejszych, gdy szło o podkreślenie znaczenia jego zajęcia, — nie mam czasu na wiosnę i w lecie, tylko w zimie, gdy budowy stoją. Prócz tego wzywają mnie do spraw ważnych, honorowych, nasędzkiego.

— I płacą ci za to?

— Co znowu! To dowód zaufania, zaszczyt obywatelski. Inny całe życie przeżyje i nikt go nie wezwie na sędzię w sprawie honorowej.

— A o co idzie w tej sprawie?

— To tajemnica na razie, dość, że tu w grze honor, a może i życie ludzkie... Powiem ci później, teraz muszę już iść.

Romcia teraz dopiero skombinowała, że jeśli idzie o honor... o życie, może to pojedynek, i zawołała:

— Jasiu! Ja się tak boję o ciebie... czy ty masz może pojedynek?

To mniemanie żony o jego dzielności i odwadze pochlebilo mu i rzekł poważnie:

— Właśnie wezwano mnie i Orszyckiego, ażebyśmy nie dopuścili do rozlewu krwi.

— O Boże!... Krew!... Ale ty nie dopuścisz do tego?

— Zależy od wielkości obrazy... zresztą naradzimy się jutro z Orszyckim, ale to tajemnica... pamiętaj!

— Rozumiem... tylko, Jasiu, nie pojedynek.

— Nie wiem... zobaczymy. No, już idę... na kolację lekką wpadnę do domu.

Udało się wreszcie Romci znaleźć kapelusz, który ją zadowolił, i w stosunku do swej piękności i różnych zalet, był jej zdaniem bardzo tani, kosztował bowiem tylko trzydzieści dwie korony. Sama poniosła go do domu z należytą ostrożnością, i w mieszkaniu, przed trzema lustrami przymierzała go w różnych pozycjach, w różnym oświetleniu.

Przymierzanie czy to kapelusza, czy sukni albo też kołnierzyka lub krawatki, nie jest, jak to mężczyźni błędnie sądzą, kaprysem kobiet, upodobaniem do lustra, zabawką, jest to naprawdę praca wymagająca dużo uwagi, wprawnego oka i subtelności estetycznej. Kobieta przymierzająca kapelusz przystępuje do tej pracy w nastroju poważnym i skupionym. Musi się znać na dostosowaniu barwy stroju do koloru włosów, oczów, cery twarzy, zbadać jak wygląda kapelusz przy

uśmiechu, smutku i przy nachmurzeniu się. Wiele też kłopotu sprawiają uszy, które swą żywszą barwą psują wrażenie harmonii pomiędzy kapeluszem a suknią. Tego kłopotu nie miała Romcia, gdyż przykrywała uszy włosami.

Nie mniej biegłości kolorystycznej wymaga zastosowanie kapelusza nie tylko do fryzury, ale i do sukni.

Kapelusz Romci ze wszystkich tych prób ognio-wych wyszedł jej zdaniem zwycięzko, z czego była uradowana.

Radość jednak dopiero wówczas jest pełna, gdy można ją z bliźnim podzielić, dlatego też Romcia, nie mając nikogo pod ręką, zawołała Marcinową, i wskazując na kapelusz leżący na stole, spytała z rozpromienioną twarzą:

— Jak Marcinowej podoba się ten kapelusz?

— Marcinowa podeszła bliżej i wyciągnęła spracowaną, czarną rękę, ażeby wziąć kapelusz.

— Marcinowol! — krzyknęła pani przerażona, — nie ruszać! — i pochwytywszy jej rękę, odciągnęła ją od stołu.

— Nie, to nie! — odpowiedziała z godnością, — chciałam zważyć, czy lekki?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pożegnały się bardzo uprzejmie, obiecując sobie znów kiedyś spędzić wieczór.

Wypił kieliszek wódki, niemal zmusił żonę do skosztowania, jadł dużo i szybko, mówiąc:

— Dziś po obiedzie nie będę spał. Mam wypłatę robotników.

— To cię zmęczy... jesteś przyzwyczajony.

— Trudno... obowiązki.

— A kiedy przyjdiesz na kolację?

— Kiedy? Pewno koło ósmej.

— W takim razie pójdę do mamy.

— Jeśli masz interes...

— Mam.

— Jaki?

— Chcę ją poprosić na rękawiczki.

— Jestem pewny, że ci nie da, zresztą naco prosić, jak wyjdziemy, to kupisz sobie.

— Ale kiedy to będzie?

— Na przyszły tydzień.

— I chcę pójść z mamą jutro na sumę.

— Dobrze... Idźcie... Ja jestem zajęty, mam razem z Orszyckim sąd honorowy.

Spojrzał na żonę, czy rozumie całą doniosłość tej sprawy.

Romcia jednak nawet nie zauważyła solennych słów o sądzie, cała przejęta myślą, że będzie wolna nie tylko dziś przez całe popołudnie,